Rok V. Kwiecień—Maj 1924 Nr 4—5.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY

ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO.



KRAKÓW. — Wzgórze Wawelskie widziane z aeroplanu.

OD ADMINISTRACJI.

Wobec kilkakrotnego podniesienia cennika drukarskiego i opłat pocztowych w czasie od lutego po dziś dzień, Administracja jest zmuszoną podnieść, od niniejszego numeru począwszy, ***cenę jednego zeszytu*** *Orlego Lotu do* ***20 groszy,*** *a więc* ***podwójnego*** *do* ***40 groszy, abonamentu*** *zaś* ***rocznego*** *do* ***2 zł.***

Prosimy naszych Szanownych abonentów o odpowiednie uzupełnienie dotychczasowych wpłat, zalegających zaś z wpłatą tegorocznej prenumeraty upraszamy — w celu utrzymania wydawnictwa — o jak najrychlejsze nadesłanie tej drobnej kwoty dwu złotych. Ponawiamy przytem prośbę pod adresem naszych przyjaciół, by zechcieli jaknajusilniej propagować w Swych kołach to jedyne krajoznawcze, a równocześnie najtańsze pismo dla młodzieży.

PROF. DR. WŁADYSŁAW SEMKOWICZ.

Walka o polskie „Kresy południowe".

(Dokończenie).

Gdy jednak decyzja zapadła i o zasadniczych zmianach granicy nie mogło być mowy, trzeba było myśleć jedynie o tem, aby choć w części ulżyć doli miejscowej ludności, którą nowa linja graniczna tak dotkliwie pokrzywdziła. Chodziło w pierwszym rzędzie o dwie przecięte gminy, t. j. Lipnicę Wielką na Orawie i Jurgów na Spiszu. Poprawienie granicy na tych dwóch odcinkach było jeszcze możliwe, gdyż Komisja graniczna (delimitacyjna), wyznaczona do przeprowadzenia szczegółowego rozgraniczenia, miała prawo zaproponować Radzie Ambasadorów poczynienie pewnych zmian, podyktowanych względami na interesy gospodarcze i komunikacyjne miejscowej ludności. Cała więc akcja polskich delegatów w międzysojuszniczej Komisji granicznej, prof. Goetla i majora Romaniszyna, zmierzała odtąd w tym kierunku, aby odzyskać odciętą górną część W. Lipnicy wraz z częścią zbocza Babiej Góry oraz resztę Jurgowa wraz z Jaworzyną. Co do Jaworzyny ważną rolę odgrywał wzgląd na pokrzywdzenie nasze w Tatrach, z których do Polski należy ledwie $1/4$ część całej ich powierzchni. Przyznanie Jaworzyny oddałoby Polsce dwie cudne doliny tatrzańskie, Jaworową i Białej Wody a nadto północne zbocza całego łańcucha Wysokich Tatr, geograficznie jaknajściślej związane z polskiem Podhalem, prawie niedostępne zaś od strony Czechosłowacji, która zresztą pozostawała w posiadaniu całej południowej strony Tatr z ich najwyższymi szczytami i całym szeregiem położonych u ich stóp miejscowości klimatycznych (Smokowce, Łomnica Tatrzańska aż

do Jaskiń Bielskich), jakich brak dotkliwie odczuwamy w Polsce. A właśnie Jaworzyna doskonale nadawała się do założenia takiej klimatycznej miejscowości. Dlatego nasi komisarze graniczni wytężyli całą energję, aby te niezbędne dla Polski i miejscowej ludności tereny odzyskać, a ponieważ w myśl dodatkowego postanowienia Rady Ambasadorów z 7 stycznia 1921 r. mogło się to stać tylko drogą rekompensat, zdecydowano się ze strony polskiej na poniesienie ciężkich ofiar, aby tylko horrendalną wprost granicę z 28 lipca 1920 r. poprawić. Komisja aljancka zaproponowała w zamian za górną część Lipnicy Wielkiej oddać Czechosłowacji dwie wsi orawskie: Głodówkę i Suchą Górę, a za resztę Jurgowa i Jaworzyny dwie gminy na Spiszu: Kacwin i Niedzicę. Na pierwszą propozycję zgodzili się Czesi i Rada Ambasadorów zatwierdziła nową granicę na Orawie w myśl wniosku Komisji delimitacyjnej, ale na Spiszu nie chcieli Czesi ani myśleć o uwzględnieniu odnośnych żądań polskich i stanowczo odmawiali jakiegokolwiek porozumienia w tej mierze, mimo, że z naszej strony była chęć do ugody nawet na zasadzie podziału Jaworzyny (linją biegnącą wzdłuż potoku Jaworowego), który proponowała Komisja aljancka. Nie będziemy tu śledzić szczegółowo walki o Jaworzynę, toczącej się już z góry 3 lata, walki, w której delegaci polscy z całem poświęceniem, z niesłychanym uporem i wytrwałością bronili naszej słusznej sprawy, mimo, że częstokroć nie znajdywali poparcia u zmieniających się w ciągu tego czasu wielokrotnie rządów. Ostatecznie Rada Abasadorów, która zresztą zastrzegła sobie rozstrzygnięcie sporu, chcąc uniknąć niemiłej w stosunku do obu zaprzyjaźnionych państw roli rozjemcy, zrzuciła ten ciężar na barki Ligi Narodów, która po zasięgnięciu opinji prawnej Konferencji haskiej, na ogół jeszcze dla nas przychylnej, wydała dnia 13 marca b. r. orzeczenie ostateczne, zatwierdzone przez Radę Ambasadorów, które dopuszcza nieznaczne tylko poprawki linji granicznej, w szczególności przyznaje nam mały skrawek gminy Jurgowa, całą jednak Jaworzynę pozostawia przy Czechosłowacji.

Tak rozegrał się epilog tej bolesnej sprawy. Przegraliśmy Jaworzynę a tem samem straciliśmy możność odzyskania najpiękniejszej części polskich Tatr, pozostały nam tylko najuboższe skrawki Spisza i Orawy. I te skrawki jednak nie są do pogardzenia i one zasługują na to, aby się stały dla nas drogiemi. Jest na polskim Spiszu i Orawie wiele przepięknych miejsc, które zachwycać będą oczy naszych turystów. Cudne są górne części długich dolin orawskich, tulących się do stóp Babiej Góry, której szczyt wraz z schroniskiem śląskiego Towarzystwa „Beskid" przypadł nam niepodzielnie. Urocze są okolice Jurgowa, Łapsz Wyżnich i Niżnich a przedewszystkiem Niedzicy, w której nad spienionemi nurtami Dunajca, na przepaścistej skale, sterczą potężne zwaliska prastarego zamku, spoglądające dumnie na niemniej malownicze ruiny czortyńskiego grodziszcza, rozsiadłego po drugiej stronie dunajcowej wstęgi.

Lecz prócz tych rozkoszy turystycznych, czeka nas praca nad ludem spisko-orawskim, dobrym, zacnym, lecz biednym i mało jeszcze dotąd narodowo uświadomionym. Pracy tej podjęło się Towarzystwo Kresów południowych, mające swą siedzibę w Krakowie (ul. Podwale 2, III p.). Poprzeć jego usiłowania przez wpisanie się na członków (wkładka roczna 5 złp.) jest obowiązkiem wszystkich, którzy pojmują, jak ważną placówką narodową jest Spisz i Orawa, zwłaszcza ze względu na niewygasłe nigdy nadzieje odzyskania reszty tych polskich ziem i polskiego ludu, niesprawiedliwym wyrokiem oddanych obcemu państwu. W tej nadziei spoglądać będziemy zawsze tęsknie ze szczytów Babiej Góry i Trzech Koron ku tym, w niewoli czeskiej pozostałym częściom Orawy i Spisza. Da Bóg, że i one kiedyś złączą się z swą Macierzą.

Pisałem w kwietniu 1924 r.

KAZIMIERZ TETMAJER.

Śpiący rycerze

(Jakby o nich chłop opowiedzieć powinien).

O zaśpionyk rycérzak opowiadajom, ze majom być kajsi zaśpioni w Giewoncie. Konie hań stojom przy złobak, bo ig hań widział kowal, Fakla, co ig kuł. Bo sie im podkowy psujom i przekuwać ig trzeba.

Janioł po tego Fakle do wsi, w Kościeliska, hodziél kielka razy za jego zywobycia.

Jest hań grota niezmierna, ciémna, ino sie kaganki świécom po ścianak. Ci rycérze śpiom, a co dziesieńć lat to nostarsy pomiendzy niémi podźwiguje głowe i pyto sie janioła, co ig pilnuje:

— Cy juz cas?

I sytka rycérze podźwigujom głowy w hełmak zelaznyk, ale janioł odpowiado:

— Nie. Śpijcie.

I śpiom dalej.

Nad niémi jest skała wielga i głęboko do ziemie trza iść ku nim. Ino ze hań nie trefi jacy ten, co go janioł pilnujący powiedzie.

Jo sé to nieroz myślał o tém i medétujem se, a i Faklek znał i słysałek, jako opowiadał.

Jo se to nieroz myślem i myślem se: moze to i być. Mozom być zaśpioni rycérze w Giewoncie, bo sytko w Boskiej mocy.

Ale se i to myślem kie niekie, z wto wié, jako to? Cy som nie jest w naskik hłopskik piersiak zaśpioni śpiący rycérze i cy to pote ta skała, kany śpiom, to nie my?...

DR. ADAM GADOMSKI.

Dolina Jaworowa.

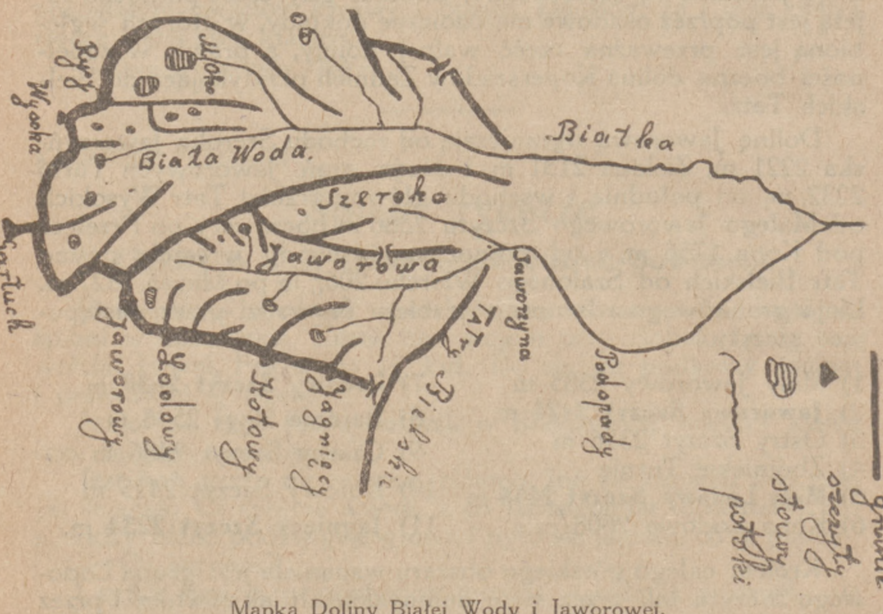
Drugą z rzędu doliną walną północnych stoków Tatr jest dolina Jaworowa, położona na wschód od doliny Białej Wody. Obie wspomniane doliny, tworzą sławny tatrzański teren sporny pomiędzy Polską a Czechosłowacją tak znaną sprawę Jaworzyny Spiskiej". Dolina Jaworowa rozciąga się na północno-wschodniem pograniczu Tatr Wysokich i w północno-wschodniej swej części należy już do do osadowych Tatr Bielskich. Dzięki temu granity ograniczone są tylko do głównej grani, a więc obejmują południową część doliny, podczas gdy część północna zajętą jest poprzez osadowe mezozoiczne pokłady, w których wgłębioną jest przeważna część walnej doliny, a prawie w zupełności boczna dolina Koperszadów Zadnich przytykająca do Bielskich Tatr.

Dolinę Jaworową ograniczają od zachodu Szeroka Jaworzyńska 2221 m, Zielona 2131 m i długa grań Jaworowych Turni 2232 m, od południa i wschodu główny grzbiet Tatr Wysokich od Małego Jaworowego Szczytu 2386 m począwszy po Przełęcz pod Kopą 1756 m, i od północnego-wschodu wreszcie pasmo Tatr Bielskich od Szalonego Wierchu 2067 m po Murań 1827 m. Linja granitowego rdzennego grzbietu prowadzi przez następujące szczyty

1) Mały Jaworowy 2385 m
2) **Jaworowy Szczyt 2424** m
3) Ostry Szczyt 2356 m
4) Zbójnickie Turnie
5) **Mały Lodowy Szczyt 2466** m
6) Kopa Lodowa 2608 m
7) **Lodowy Szczyt 2630** m
8) Baranie Rogi 2536 m
9) Czarny Szczyt 2486 m
10) Kołowy Szczyt 2425 m
11) **Jagnięcy Szczyt 2234** m.

Królem całego górskiego obszaru wspaniała jest grupa Lodowego Szczytu tak przez swój dumny kształt jak również i przez nigdy nie niknące bardzo wysoko położone pola wiecznych śniegów (firnów). W tych najgórniejszych piętrach Lodowego Szczytu rozpoczyna się dolina Jaworowa zwana „Zadnią", pomiędzy południowemi zboczami Lodowego a wspaniałemi północnemi ścianami Jaworowych Szczytów. Spływające wody zbierają się w tak zwanym „Żabim Stawie Jaworowym" (1900 m), umieszczonym w zewsząd wypełnionym olbrzymiemi głazami skalnym kotle. Dopiero późne lato wyswobadza z pod śniegów częściowo ten staw, zamknięty silnie ogładzonym progiem skalnym. Jezioro samo nie jest morenowem, pomimo wielkiej ilości nałożonych bloków skalnych, lecz karowem, o czem świadczą kocioł wgłębiony w litej skale i odpływ wcięty głęboko w ogładzone ściany progu stawowego. Tą erozyjną gardzielą spadają wody w licznych kaskadach, do podnóża owego 140 m. progu zamykającego jezioro, początkowo giną w morzu piargów, by potem poniżej

w wysokości 1600 m ukazać się na powierzchni. Ściany Jaworowych Szczytów i Turni dostarczają olbrzymiej ilości piargów Zadniej Dolinie, których stożki sunące tworzą jedno z największych w całych Tatrach piarżysk. W ponurych ścianach skalnych znać ślady licznych a bardzo potężnych oberwań górskich, a ciszę bezwzględną tej doliny przerywają tylko huki wciąż spadających lawin kamiennych. Z jedną z takich lawin sunącą z tych samych ścian Jaworowych Szczytów spadł w dół ponosząc śmierć ofiarną ś. p. Klimek Bachleda, najsławniejszy z przewodników tatrzańskich, w czasie akcji ratunkowej za ś. p. Szulakiewiczem, akademikiem lwowskim w latach przedwojennych.



Mapka Doliny Białej Wody i Jaworowej.

Dolina Zadnia Jaworowa w miejscu ukazania się ukrytego pod piargami potoku, zmienia swój dotychczasowy kierunek wschodnio-zachodni na północny i odtąd ciągnie się już właściwa dolina Jaworowa, będącą jednym wielkim żłobem lodowcowym, silnie pogłębionym, do którego boczne doliny uchodzą ujściami wiszącemi, a potoki tychże zlatują w dół kaskadami. Ta część dolinna jest walną dla tego całego obszaru, ciągnąc się na przestrzeni 6 km w prostym kierunku z południa na północ. Bocznymi dolinami uchodzącemi do walnej od wschodu są następujące doliny: Sucha, Czarna Jaworowa i Dolina Koperszadów Zadnich z Doliną Kołową. Zachodnia ściana Doliny Jaworowej posiada trzy nieznaczne odgałęzienia bez nazw. W pierwszym licząc od południa leży Mały Żabi Stawek 1705 m,

w następnym zaś Zielony Staw Jaworowy 1820 m, pod Szeroką Jaworzyńską, w trzecim brak jakiegokolwiek stawu. Oba te stawy są co do pochodzenia karowemi, a więc zawdzięczają powstanie swych zagłębień, dawnym tworzącym się tu lodowcom. Przy samym już wylocie doliny Jaworowej uchodzi do tejże z lewej a więc zachodniej strony znaczna dolina zwana Szeroką, której ze względu na jej wielkość, krajobraz odmienny wielce od dolin Białej Wody i Jaworowej, należy się osobny opis, uzupełniający całokształt stosunków dolinnych terytorjum Jaworzyny [1]).

Natomiast wymienione już boczne doliny strony wschodniej stanowią najpiękniejsze partje doliny Jaworowej i z niemi też należy się bliżej zapoznać. Dolina Sucha bierze początek w stromych zachodnich stokach Lodowego Szczytu, licząc około $1^1/_2$ km długości w swym nadzwyczaj pochyłym podłożu dolinnym, przerwanym 2-ma progami skalnemi w górnej części i 3-cim progiem ujściowym w dolinę Jaworową. Stawów nie posiada, a potok jest tylko czasowym stąd nazwa „Sucha". Następna dolina Czerna Jaworowa bardzo obszerna i znaczna bierze początek od karu (kotła) firnowego pod Lodowym Szczytem zwanego „Lodową Doliną", dalej od kotła skalnego pod Śnieżną Przełęczą u stóp Baranich Rogów 2536 m i wreszcie od kotła na południ.-zachodnich zboczach Kołowego Szczytu 2425 m, które to trzy wysokogórskie kary łączą się w jeden wspólny Czarnego Stawu Jaworowego 1490 m. Dzisiejszy Czarny Staw wypełnia zaledwo połowę swego dawnego stawu, 15 m wcięcie się odpływu w glacjalny próg zamykający obniżyło silnie zwierciadło wodne. Poniżej stawu dolina Czarna Jaworowa opada do walnej ujściem wiszącem już nieco złagodzonym, którego stromizny zajmuje gęsty las świerkowy. Na północny-wschód od Czarnego Stawu znajduje się wysoko położona boczna dolina „Kołowego Stawu" 1560 m, tworząca potężny kocioł lodowcowy łączący się w dole z Doliną Koperszadów Zadnich, które to dwie połączone doliny dostarczają dolinie Jaworowej najpotężniejszego dopływu. Oba stawy, a to Czarny i Kołowy są genetycznie karowemi a więc zamkniętemi skalnemi progami, na których jednak akumulacja lodowcowa złożyła swe utwory w postaci moren. Wreszcie Doiina Koperszadów, położona na granicy masy granitowei W. Tatr i osadowych Tatr Bielskich, stanowi przez przeciwieństwa swych zboczy dolinnych przejściowy krajobraz zamykający całą gamę krajobrazu doliny Jaworowej.

Południowe podłoże doliny Koperszadów stanowi granitowa masa Jagnięcego Szczytu, jako piękna w swym kształcie piramida na straży W. Tatr. Tam u stóp tego szczytu znajduje się ponury czarny kocioł lodowcowy z polem wiecznych śniegów, natomiast zbocze Tatr Bielskich, których szczyty pięknie się bielą wapiennymi ścianami, porośnięte stromemi, zielonemi traw-

[1]) Opis ten podamy w następnym numerze.



WIDOK NA DOLINĘ ZADNIĄ JAWOROWĄ.

(Zamknięcie korytowe doliny lodowcowej). Pozębiona grań od prawej ku lewej stronie to Jaworowe Turnie, Mały Jaworowy i Wielki Jaworowy Szczyt. U stóp przestronnych ścian wielkopola piargów. Lodowiec epoki glacjalnej wychodził z karu lodowcowego, zasłoniętego na zdjęciu bocznym odgałęzieniem Szczytu Lodowego po lewej stronie.



GANEK I WYSOKA WIDZIANE OD WSCHODU.

Typowe ostro zakończone szczyty tatrzańskie, ścięte ścianami zewsząd je otaczających karów lodowcowych.

nikami tak zwanemi upłazami, a zwrócone ku południowi wystawione są na silne nasłonecznienie. Kontrast form i krajobrazu bardzo widoczny. Dolina Koperszadów uchodzi w Jaworową ujściem wiszącym, dziś jednak już przepiłowanym w tak zwanej Bramce przez erozyjną działalność potoku. W czasie epoki lodowej cały obszar doliny Jaworowej uległ zlodowaceniu, lodowiec Jaworowy wraz pobocznymi tworzył najpotężniejszy lodowiec północnych stoków Tatr po lodowcu Białki (Białej Wody). Koniec jego powyżej wsi Jaworzyna jest doskonale widocznym na lewej morenie, szybko tracącej na położeniu wysokościowym a przechodzącej w morenę czołową w wysokości 1025 m; leżąca poniżej Jaworzyna Spiska wznosi się w wysokości około 1020 m.

Wiosna w Tatrach.

W podcienie wybielonej podhalańskiej chaty
Wszedł wróż mej duszy jasny i radosny,
Jak sen o szczęściu, jako zwiastun wiosny,
Kwieciem i słońcem i blaskiem bogaty.

Za oknem smreki chyliły się smutne,
Wrzały wiosenne wezbrane potoki,
Kobierzec kwiecia lśnił się modrooki,
Pląsały śpiewy tęskliwe a butne.

Słońce złociste kładło wokół krosna,
Muskało śniegiem otulone szczyty,
Potężne, śmigłe, dążące w błękity...
Słoneczna tarcza rozśmiana, radosna
Budziła Giewont, w senne mgły spowity.
. . . .
A wokół wrzała cudna, rozśpiewana WIOSNA!

W Zakopanem, 29 marca 1923 r. *K. Z-cz.*

DR. TADEUSZ KIEŁPIŃSKI.

Ponad tatrzańskie turnie...

(Dokończenie).

Wylecieliśmy z Warszawy w mgliste, zachmurzone rano. Wietrzno było i siąpił drobniutki, zimny deszczyk. Maszyna szła ponad miastem rozmokłem, szarem i jakiemś dziwnie smutnem. Po obu brzegach Wisły wlokła się ciężka, przyziemna mgła. Aparat wpadał co chwila w głębokie dziury powietrzne. Czasami przechylał się silnie na lewo. Wiatr...

Minąwszy zabudowania miasta, leciałem nad torem krakowskim, wolno, walcząc z wiatrem i opuszczając się nad ziemię, chwilami nawet nisko nad obmokłe w deszczu szyny; sunął powoli express paryski. Pullmanowskie, długie dachy wagonów spływały deszczem. Proste, dalekie drogi znaczyły się jak białawe pasemka wśród pól. Nizina bezkresna, jednostajna, szara. Gdzieniegdzie staw wtłoczony w wiklinę, wtulony w brunatne opary mgły, marszczył się pod wiatrem.

Zaczęliśmy się wznosić ku górze. Poczułem na twarzy zimny, wilgotny powiew. Na szkle kompasu pokazały się jakby krople rosy. Wjechaliśmy w „białe ciemności“ chmur. Samolot szedł już teraz dobrze, pewnie. Igła busoli przestała kreślić niespokojne półkola i lekko drgając, zwróciła się na południowy-zachód. Wznieśliśmy się wysoko ponad chmury — i otoczyły nas one ze wszystkich stron. Motor pracował warcząc jednostajnie, bez szmerów i tych nagłych, pojedynczych uderzeń, tak mało sympatycznych, gdy człowiek dosięga wyspkości tysiąca metrów ponad powierzchnię ziemi.

Od czasu do czasu rozwiewał wiatr kłęby chmur — a wtedy przezierał w dole brunatno-szary ląd. Cienki, biały sznurek wił się w rozlicznych skrętach wśród pustych pól: Pilica. Daleko na widnokręgu pokazały się małe, przyziemne pudełeczka — jakaś pochylona wieża, zgrupowane wokoło niej malutkie, ceglane domki. Mijaliśmy Radom.

Kończyła się wielka, czekoladowo-szara nizina; występować zaczęły rozległe, ciemno-zielone kwadraty lasów, faliste wzgórza znaczyły boki geometrycznych figur, jakby ktoś wymalował olbrzymie twierdzenie Pytagorasa wśród świętokrzyskich gór.

Lecieliśmy nad borami ziemi kieleckiej długi czas; potem znów przyszły chmury, zakryły nam horyzont — i trzeba było się pochylić nad zapłukaną deszczem szybką busoli i kierować aparatem według krótkich, niepewnych wahnień złocistej igiełki. Zniżyłem się na sześćset metrów. W dali przed nami zamajaczyła rzeka. I znów domki; cała ich grupa, ale już większe i gęściej rozsiane. Na moment zalśnił mokrym dachem jakiś kościół obok dwóch wieżyczek: wyglądało to jakby ktoś ustawił pochylony pałacyk z malutkich kart. Pilot pochylił się ku mnie:

— Panie kapitanie, melduję posłusznie — Kraków!

Spojrzałem uważniej; trudno było coś określonego dostrzedz — wicher coraz to nowe tumany chmur zawiewał — lecz widziałem rzekę, domy, kościoły, kościołów jakby dużo — kompas i mapa się zgadza — Kraków!

Maszyna leciała wciąż na południe, chmury poczęły się rozsuwać, mgła na niebie zdawała się zbierać w jednem miejscu i jaśnieć coraz wyraźniej, coraz więcej, coraz silniej; błyszczyć zaczęły białe, malutkie kłębuszki obłoczków — rozdarły się nagle jak woalka — i schyliłem głowę, bo blask promieni odbitych od mokrych, lśniących skrzydeł aparatu raził swą jaskra-

wością oczy. Zabłysło słońce i zaiskrzyły się srebrem pasma płynących w dole wód. Zniżylismy lot.

Roztoczyły się pod nami linje wzgórz, wielkie kobierce oblanych słońcem łąk — gdzieniegdzie białemi płatami śniegu znaczona polana wśród lasów. Górski krajobraz okolicy zaznaczał się coraz wyraźniej. Jakieś miasteczko malutkie odrzynało się białemi ścianami nachylonych domków na tle szpilkowych lasów.

Pilot jął niespokojnie kręcić zeisowską lornetką; badał teren.



Wśród chmur. Lot nad Wisłą.

— Przeklęte mgły nad kieleckiem! Co to może być? Gdzie my jesteśmy? — zwrócił się do mnie z zapytaniem, usiłując przekrzyczyć warkot motoru.

Przełożyłem mapę w przejrzystym, żelatynowym futerale, starannie obserwowałem kompas, wysokość i chyżość lotu. Kolega mój kłął pogodę, deszcz i chmury, które psuły nam jazdę, a teraz, kiedy zaświeciło słońce, uniemożliwiały orjentację.

— Djabli nadali... Możemy tak lecić, licho wie dokąd...

— W górę!

Nacisnąłem ster pionowy; motor zaczął pracować intenzywniej, samolot ustawił się pod silnym kątem — poczęliśmy się szybko wznosić ku białawem, pierzastem chmurkom, które wiatr pędził po oliwkowo-błękitnem niebie.

Tysiąc metrów... tysiąc dwieście.

Ziemia pod nami rozpościerała się coraz szerzej i dalej, jak olbrzymia, geograficzna karta. Występowały wyraźnie rzeki, szarawe wstęgi dróg, miasteczka i osiedla dalekie... Dunajec wielkiemi zakrętami wił się wśród wzgórz. Gorlice, Jasło... Na zachód od nas wielka wyspa Gorców, za nią równia doliny Nowotarskiej. Poza nami miąsto, w rozjaśnionem słońcem powietrzu doskonale widoczne.

— Tarnów! Nie Kraków, ale Tarnów!

Serdecznie któryś z nas zaklął. Lecieliśmy nad Tarnowem, ale chmury, nic widać nie było. Zatoczyliśmy szeroki łuk, kierując się na północny zachód; musiałem być na lotnisku w Rakowicach. Miałem oddać jakieś urzędowe papiery...

Za chwilę ujrzeliśmy pochylone wieże Marjackie, jasne łaty pokrycia na dachu kościelnym. Zabudowania zamku na wielkim, wawelskim półwyspie tonęły w słońcu. Błyszczała złotem królewska kaplica. Na wieży zygmuntowskiej biła ósma.

O wpół do dziewiątej byliśmy znowu w drodze, lecąc na południe. Zniżyłem się znacznie i dokładnie mogłem rozróżniać pojedyncze osady wzdłuż drogi kolejowej do Zakopanego się ciągnące. Tatr jeszcze widać nie było. Białe tumany chmur kłębiły się po za doliną Raby. W jednem miejscu czarna linja toru, wraz z nami na południe biegnąca, skrzyżowała się w wielkie T. Zabudowania stacyjne, kilka równolegle poukładanych szyn. Chabówka.

Odchyliłem się nieco na zachód, w stronę olbrzymich, czarnych, zwartą gęstwą na stokach Żeleźnicy osiadłych lasów rabiańskich. Ostry wicher uderzył w twarz. Poprzez miarowy głuchy warkot motoru szedł poszum świerków w dole rosnących. Szła z wiatrem woń jodłowa, żywiczna, rzeźka, młoda, upojna. Wciągałem już pełnemi nozdrzami zapach świerkowych borów jak rozpuszczoną w powietrzu cudowną myrrę. Las szumiał i kłoniły się nam majestatycznie kiście wierzchołków, chwiały ku ziemi sosny; niekiedy podnosił się nagle obłok białego kurzu i pędził po szczytach drzew: wiatr zrywał świeżo opadły, na zielonych igłach gałęzi zawisły śnieg. Las stał w jesiennem, zimnem słońcu, rozszumiały, ogromny, tajemniczy.

Obniżyliśmy lot; drzewa pod nami tuż, tuż, wielkie bory na europejskim dziale wód, dawnej polsko-węgierskiej granicy. Na lewo od nas stok Babiej Góry: wielka piramida z szeroko rozłożonemi bokami i ostrym szczytem nad śnieżnemi polami; czarną smugą znaczą się lasy na stokach. Mijaliśwy wioski w gęstwie lasów ukryte: Podsarnie, Bukowina. Wyżyna podnosi się tu znacznie, tworząc jakby stożek ścięty z ogromną podstawą. Na szczycie stożka, w lejkowato wydrążonem zagłębieniu Poszkle,

mała, śliczna wioska orawska z białą wieżą kościółka, cała w bór głęboki wtulona.

Parę minut a krawędź wyżyny urwała się nagle i lecieliśmy nad Orawą, równą jak stół olbrzymią doliną, znaczoną trójkątami lasów, kępami samotnie stojących drzew. Płaszczyzna szeroka, daleka, ciemna; gdzieniegdzie tylko plamy śnieżne żłobiły wielkie, białe rysy i lśniły się w słońcu. Wzdłuż i wszerz znaczyły się długie, fioletowe cienie: to głębokie torfowiska orawskie, błyszczące szybami malutkich stawków; gdzieniegdzie kępy szuwarów.



Lot ponad Cichą Doliną.

Podniosłem wzrok. Góry lunęły w oczy jak tatrzański, halny wicher. Od ciemnej równiny, od zielonawych, białemi płatami przetykanych zboczy, odcinały się szczyty tatrzańskie srebrzystym puchem pokryte, jak brzegi olbrzymiego morza. Całe pasmo nagle z nad orawskiej równiny wyrosłe, pędziło ku nam jasne, ogromne, potężne. Kopulaste zbocza Osobitej, Czerwonych Wierchów spadały w dolinę jak fale olbrzymiego oceanu. Piętrzyły się granie Świnicy i Koziego Wierchu postrzębione igłami lodem okutych turni. Waliły się w Jaworową Dolinę olbrzymy spiskich Tatr. Gdzieniegdzie czerniały nagie, granitowe żebra skalne. Na szerokich przełęczach leżał w półokrągłych ławkach śnieg lśniąco-biały i wisiał nad skałami, jakby miał lada chwila

runąć w dół. Wiała od Tatr jakaś pustka sztraszliwa, tajemnicza groza i moc. Wicher gwizdał po krawędziach skalnych i huczał wśród lodowych pustyń.

Pędziliśmy w stronę kopy Krywania, którego samotny, biały szczyt przeplatała mgła, wlokąc się wielkim szarym tumanem od Hrubych Wierchów.

Mknęliśmy nad Gubałówką. Przesunął się i znikł zaspą śniegową otulony krzyż. Zakopane. Z małych domków dym dźwigał się ku niebu. Czarne pazdury dachów przeglądały przez śnieg. Na Marszałkowskiej, Krupówkach, ludzie zatrzymywali się, patrząc ku nam. Ktoś powiewał chustką...

Od Nowotarskiej do Kuźnic lecieliśmy niecałe dwie minuty. Zaczernił się przed nami reglawski las. Z czeluści ogromnego śnieżnego kotła pod Goryczkową, buchnął wiatr, jakby chciał nas odrzucić od gór. Aparat przechylił się gwałtownie. Sterowaliśmy pionowo, silnie pod kątem, zwalniając bieg. Aeroplan kolebał się jak ptak na silnym prądzie powietrza. Gwałtownie pracował motor. Niespokojnie biegała igła kompasu. Gdzieś od Kondrackich Wierchów sypnął na nas śnieg. Rtęć w skórzanym futerale termometru, która nad Orawą trzymała się na 5°/o zaczęła opadać szybko w dół. Przenikał ostry, szpilkami kłujący mróz. Płynęliśmy już wśród giewontowych turni, sterując ku Cichej Dolinie.

Leciałem bardzo wolno, opuszczając się na dno głębokiego jaru, gdzie latem wije się potok i huczy wśród zielonych smreków. Pełna romantycznego uroku Cicha, gdzie na senną zieleń gór „światła się zlewa mgła przeźrocza". Wspomniałem lato. Bujną trawą porosłe zbocza Liljowego, rozdzwonione kierdelami owiec Przeciągła pieśń pastusza zawodzona kędyś pod Walentkową lub Zaworami...

Teraz ogromna, biała podbiegunowa pustynia. Niema potoku, ni zielonych zboczy, ni lasu. W dole drzewa jak stalaktyty: żadna gałąź powłoki śniegowej nie przebije — nawet wierzchołków sosen nie widać. Skry się tylko brylantowe srebrzą i migocą w słonecznem blasku. Kosówka zasypana śniegiem. Na białem zboczu zaczął biec cień aeroplanu i wzrastał szybko. Zawory. Przemknęliśmy się nad przełęczą, dotykając prawie śniegu gumami kół. Poprzez Gładką Przełęcz widać było olbrzymi, śnieżny kocioł pod urwiskiem Koziego Wierchu. Śnieg spadał stromemi falami by w środku doliny rozłożyć się szeroką, okrągłą równią. Ta biała płaszczyzna jedna i druga — to stawy w Pięciu Polskich. Na jednem z nich długi, samotny szlak nart...

Wznosiłem się ponad kotliną Ciemnosmereczyńskich stawów. Martwota wiała z tej głuchej doliny i jakaś groza wyzierała z nad skał, co czarnemi ścianami przebijały śnieg i ponurem koliskiem zamknęły świat. Wicher przestał świstać po turniach, jakiś martwy spokój legł na górach i tylko echo niosło warkot motoru na strome żleby i czeluście Hrubego Wierchu; szum

aparatu wpadał w boczne doliny i chwilami przechodził w huk do głuchego grzmotu spadających lawin kamiennych podobny.

Mgła czepiała się turni i trzeba było podnieść lot. Porucznik wyciągnął rękę.

— Igły Hrubego!

Spojrzałem w lewo. Długa pozębiona grań — jeden z najtrudniejszych szlaków tatrzańskich — pełna gwałtownych uskoków, przepaścistych, stromych ścian, niemożliwych do obejścia kolosalnych bloków, olbrzymich koni skalnych. Trudności w lecie pierwszoklasowe. Ekspozycja wszędzie ogromna. W zimie tej drogi nie zrobi nikt. Nawet sam król dróg tatrzańskich.



Ciemnosmereczyńskie stawy z lotu ptaka.

Przez chwilę szybowaliśmy nad Hrubym; przypatrywałem się z góry pionowem krzesanicom, żlebom spadającym w dół pod kątem tak prostym, że i śnieg się granitu nie imał a żebra skalne sterczały nagie, czarne i przeraźliwie groźne. Z pod Krywania lecieliśmy na wschód; aeroplan przemknął się koło Cubryny, zakołował nad Mięguszowiecką i zniżyliśmy się w stronę przełęczy pod Chłopkiem. Wolno, chyląc na boki skrzydła, samolot okrążył szczyt nad Czarnym. Przypomniał mnie się Witkiewicz i jego opis wejścia na przełęcz mięguszowiecką, który taką nadzwyczajną sławę jej zjednał. Wycieczka długa, ciężka, podejmowana jako poważna górska wyprawa Zmieniają się skale ocen szlaków tatrzańskich! Z pewnością nie przypuszczał

autor „Na Przełęczy“, że w kilkanaście lat po jego wycieczce, w mroźny zimowy dzień ponad stromą, polerowanemi ścianami staczającą się „otchłanną, straszną przepaścią“ kołować będzie polski aeroplan.

Byliśmy nad Morskiem Okiem, widocznem stąd prawie na równej płaszczyźnie z Czarnym Stawem pod Rysami; wyglądało ono jak wielka plama śnieżna. Słońce znaczyło zygzaki na zboczach. Cienie chmur pędziły gdzieś po granitach. Ostrą turnicę Mnicha otaczała mgła. Od strony Miedzianego ciągnęły wielkie, białe chmury. Ale nad Rysami niebo było błękitnie jasne, cała grań od Wysokiej odcinała się niezwykle plastycznie i wyraźnie,



Gierlach.

jakby ktoś białą koronkę na lazurze rozwieszał. Delikatne, srebrzyste obłoczki przyszły z wiatrem i rozbijały się o skrzydła samolotu na malutkie, złocisto-białe chmurki. Płynęliśmy wśród nich wolno, majestatycznie, zniżając to znów podnosząc lot nad Batyżowiecką Doliną. Aeroplan krążył koło długiej grani Gierlachu, jak skalny orzeł. Patrzyliśmy z trzech tysięcy metrów na olbrzymią, śnieżną pustkę, milczącą, głuchą, daleką, w ciszy srebrnego południa zaśniętą. Refleks od gór szedł tak silny, że aż oczy mrużył; szczyty Tatr Zachodnich jaśniały jakby miljonem łukowych lamp. Dolina Białej Wody cała w srebrnych iskrach, żarzyła się blaskiem, jakby kto ognisko słoneczne u stóp Młynarza rozpalił.

Szczyty Tatr Wysokich wywoływały odmienne wrażenie od tego, którego doznajemy spoglądając na góry z Wysokiej, Rysów lub Ganku; tam mamy uczucie, jakbyśmy się wśród granitowego morza znaleźli: naokoło nas krzesawice — pod nami urwiste przepastne żleby i hale górskie gdzieś w błękitnej dali. A wtedy, wychyliwszy się za burtę samolotu, patrzyłem na Tatry, jak na las cudnych, w białym marmurze z Carrary wyczarowanych wieżyc medjolańskiej katedry: w ślicznym, delikatnym gotyku rzeźbiona Wysoka, potężny masyw Gierlachu, ostremi łukami wsparty na Wielickiej Dolinie, strzelista wieża Wysokiej a w niej prostopadłe o ostrych, wydłużonych łukach żleby jak wąskie, gotyckie okna. Łagodne, półokrągłe zagłębienia przełęczy niknęły zupełnie, a na ich miejscu tworzyły się ostre, kanciaste wcięcia, a ponad nie strzelały w niebo śmigłe wieżyczki turnic Spiczastego, Mnicha, Małej Wysokiej...

Wzwosiliśmy się wciąż ku górze; trzy tysiące pięćset metrów... cztery tysiące...

Za białym obszarem Tatr poczęły występować szaro-zielone równiny, rzeki jak białe, przędzalne nitki, gdzieś daleko Kraków, potem nizina Śląska z pióropuszem dymów fabrycznych, jakieś miasta bardzo, bardzo dalekie, ledwo widoczne na bezkresnej równi.

A za nami Niżnie Tatry, jak plama śniegu na szarej płaszczyźnie, drogi odległe, miasteczka migocące się w słońcu, na skraju horyzontu wstęga rzeki: Dunaj. Wyspa tatrzańskich szczytów malała wciąż; góry wyglądały jak rozrzucone po ziemi girlandy białych róż.

Prądy powietrzne szły coraz więcej raptowne, silne. Aeroplan spadał chwilami w dół, by za moment rzucić się znów krótkim, urywanym skokiem naprzód. Dął mocny wicher. Zaczęliśmy sterować na północ; wracałem do Warszawy z mojej najoryginalniejszej wycieczki tatrzańskiej...

Kapitan umilkł. Patrzyliśmy chwilę na Tatry, które okryła już noc. Czarne filary gór zdawały się wspierać o blado-niebieską kopułę nieba. Gwiazdy mrużyły się nad Lodowym, świecąc w szczerbach grani jak świętojańskie robaczki. Wokoło Łomnicy zbierały się małe, jasne, świetlane obłoczki: brzegi ich poczęły się coraz silniej złocić, burzyły się jak faliste kłębuszki wełny, do lśniącej piany wód podobne. Księżyc wschodził ponad czarne turnie.

Schodziliśmy w dół.

Lały się blaski roztopionego złota na śpiącą, ciemną wodę w Wielickiej Dolinie.

WŁADYSŁAW SEMKOWICZ.

Z wędrówek po Orawie.

Był dzień sierpniowy, pogodny i skwarny. Upał doskwierał już od wczesnego rana, gdyśmy z Lipnicy Wielkiej ruszyli w drogę wózkiem, zaprzężonym w dziarskiego konika. Odprowadzałem dwóch moich miłych gości z Warszawy. Byliśmy wszyscy w doskonałych humorach, nie wyłączając naszego woźnicy, Józka, jąkały z wyłupiastemi oczyma, konia, który parskając wesoło, rwał w kopyta jak szatan, i wózka, co podskakiwał gwałtownie po wyboistej drodze, jakby się chciał pozbyć ludzkiego ciężaru.

— Uważaj Józek — mówię, — bo masz cztery dusze na ramieniu!

— G-g-gdzie te d-d-duse? — zapytał chłopak, spozierajec zaciekawiony na swe ramię.

Na Murowanicy skręciliśmy raptownie w lewo i wjechali na lepszy, łaskawszy na nas gościniec, wiodący do Jabłonki. Po obu stronach drogi mieliśmy teraz malownicze widoki. Powietrze było tak czyste, że góry zdawały się przybliżyć; na północy piętrzyła się potężna, przysadzista — jak olbrzymi wulkan — piramida Babiej Góry, od południa czerniał grzebieniasty łańcuch Tatr i przedłużenie ich stanowiących Orawsko-liptowskich Hal, niby mur obronny blankami i basztami najeżony, nad któremi wykwitały chmur białe obłoczki. Rozpoznajemy poszczególne turnie i doliny, obliczamy odległość gór, stwierdzając niezwykłe złudzenie bliskości. Mijając wylot doliny małolipnickiej, przebywamy lasek przydrożny i wjeżdżamy niebawem między domostwa Jabłonki. Przed Bankiem ludowym, jedynym tu piętrowym budynkiem — postój. Wita nas p. Piekarczyk, jeden z pierwszych tutejszych działaczy narodowych, człek suchy, ruchliwy, o czerstwej, rumianej twarzy z sumiastym wąsem. Zaprasza do siebie na górę, raczy gościnnie, przedstawia swoich synów, kształcących się w wyższych uczelniach w Krakowie. Schodzą się i inni Orawcy — słuchacze wszechnicy jagiellońskiej, bawiący tu na wakacjach. Czas upływa na miłej pogawędce o stosunkach miejscowych, projektach młodzieży i t. p. Lecz pora nam w dalszą drogę — pożegnanie, i za chwilę siedzimy znów na wózku, który teraz już powolniej toczy się pod górę drogą do Orawki.

Poczynając od kościoła, górującego nad okolicą swą ładną barokową fasadą, krajobraz staje się coraz silniej falisty, coraz wybitniej górski, coraz bardziej malowniczy. Wązka zrazu dolina Czarnej Orawy, która tu bierze początek, obramowana z obu stron zwałami wzgórz pokrytych lasem, rozszerza się stopniowo i za zakrętem drogi wyłania się nagle prawdziwie szwajcarski krajobraz Orawki. Domki góralskie rozsypane grupkami, piętrzą się wysoko aż po skraj lasu a pośród nich wystrzela szary kadłub drewnianego kościółka z piękną wieżycą, przypominającą

zdala szczyt Marjackiej. Zatrzymujemy się przed plebanją dla zwiedzenia tej osobliwości orawskiej. Ks. Keczera, proboszcz miejscowy, Słowak z pochodzenia, chętnie wprowadza nas do kościoła, objaśnia wszystko, otwiera bibljotekę. Świątynia pochodząca z XVII w., należy do najciekawszych okazów budownictwa drewnianego w Polsce. Ściany jej pokryte są polichromią z początku XVIII w., w której zwraca uwagę, na motywach ludowych oparty, cykl obrazów na chórze, ilustrujący dziesięcioro przykazań, z góralami w strojach ówczesnych, czarownicami i całem tem tłem wierzeniowo-obyczajowem, które odtwarza barwnie życie wsi orawskiej z przed dwustu lat. Bolesny tylko widok sprawia zniszczenie części tych pięknych fresków na ścianie północnej, wskutek zaciekającego dachu, o którego naprawę ks. proboszcz daremnie kołata u właściwych instancji. Fatalne pomieszczenie, w wilgotnej komórce, ma cenna bibljoteczka, w której przechowuje się mszał czeski w Wenecji drukowany, z pocz. XVI w., nie brak jednak i książek polskich, jak Kazań Skargi i t. p. Orawka bowiem już w połowie XVII w. dzięki swemu proboszczowi, ks. Czechowiczowi, pochodzącemu z Podhala, oraz całemu szeregowi jego następców Polaków, była silną ostoją katolicyzmu i polskości, o którą rozbijały się fale różnowierstwa. Ks. Czechowicz ma na środku kościoła kamienną płytę grobową z datą 1650, dziś niestety już tak startą, że napis ledwie odczytać się daje. Wiele ciekawych szczegółów do późniejszych dziejów parafji zaczerpnąć można z *Historia domus*, którą obecny ks. proboszcz, miłośnik przeszłości, troskliwie u siebie przechowuje i dalej uzupełnia. Między innymi uderzył nas jeden fakt z dziejów niedawnej walki o Spisz i Orawę. Okazuje się z kroniki ks. Keczery, że aljancka komisja plebiscytowa, która u niego wówczas mieszkała, już na kilka dni przed nieszczęsną decyzją Rady Ambasadorów z 28 lipca 1920 r. znała tekst tejże z dokładnie określoną granicą, którą trzymano w Paryżu przed delegacją polską w tajemnicy aż do wspomnianego dnia. Rzecz jasna, że wytknięto ją w porozumieniu z Czechami.

Z Orawki podążyliśmy ku Podwilkowi, zachwycając się po drodze widokami i piękną budową góralskich domów z t. zw. „wyżką“, t. j. pięterkiem, przeznaczonem na skład, do którego dostęp prowadzi z frontowego, na całę szerokość domu ganeczku, ozdobnego często misternie rzeźbioną balustradą. Naliczyliśmy takich piętrowych domów o stromych dachach i z okrągłołukowemi wrotami, poczerniałych od starości, kilkadziesiąt.

Słońce stało na niebie wysoko, prażąc silnie żarem swych południowych promieni, gdy stanęliśmy w Podwilku, co to przed paru wiekami był „pod panem Wilczkiem“, którego potomkowie dziś zesłowaczeni, żyją w Trzcianie a posiadają dokumenty polskie z XVII w. Po skromnym posiłku w miejscowem Kółku rolniczem, odprawiamy Józka z koniem do domu i puszczamy się pieszo ku przełęczom beskidowym, oddzielającym Orawę od reszty Podhala. Porzuciwszy jednak gościniec wiodący do Spytkowic, zboczy-

liśmy na lewo w bór świerkowy. Towarzysze moi mieli bowiem zamiar przejść tędy do Sidziny, aby zdążyć na pociąg wieczorny do Osielca, ja zaś odprowadziłem ich jeszcze kawałek drogi, aż do dawnej granicy galicyjskiej, gdzie ścieżyna leśna zaczęła opuszczać się ku dolinie.

Wracałem stąd z myślą, aby skorzystawszy z wspaniałej pogody, zwiedzić jeszcze jakiś nieznany mi dotąd zakątek Orawy. Planu nie miałem żadnego, postanowiłem przeto iść, gdzie oczy



Dom Józefa Bukowińskiego w Podszklu
z charakterystycznym, łamanym, dachem i podcieniowym ganeczkiem.

poniosą i oddałem się pod przewodnictwo instynktu, który skierował moje kroki z gościńca na lewo, w stronę Podszkla. Szedłem z uczuciem radosnej beztroski, tej co to zapomina o dniu wczorajszym a nie myśli o jutrze, takiej, jakiej zazdrościłem nieraz ptakom leśnym. A jednak na dnie upojonej tą sielską swobodą duszy tliły drzemiące iskry jakichś pragnień nieokreślonych, jakby pożądanie nowych wrażeń, może przeczucia nieznanych źródeł piękna i uroku, jakie czekają u celu wędrówki. Te pragnienia nie dawały spocząć dłużej wśród skwaru w kojącym cieniu

wonnych żywicznie smreków, na kuszącem mchu pokryciu i zmuszały do przyspieszenia kroku, choć nic nie nagliło.

Miało się już ku wieczorowi, gdy przez ostatnie wrota cichego gaju wszedłem na obszerną polanę podszklańską, otoczoną wieńcem wzgórz leśnych i przerzniętą srebrzącym się wśród łąk zielonych strumieniem. Wzdłuż drogi, która pnie się jasną falistą wstęgą w górę doliny, rozsiane z rzadka domki, gęściej skupiają się dopiero u jej krańca, wokoło białego kościółka. Tam cel mojej wędrówki w ten cudny, cichy, niezapomniany wieczór sierpniowy... W domu księdza proboszcza Buronia znajduję serdeczną gościnę.

Nazajutrz rano zwiedzanie „osobliwości“ Podszkla. Niedaleko kościółka, niezbyt zresztą dawnego, stoi na łączce stary, parusetletni dąb, w którego spróchniałym pniu zapuścił swoje wężowe korzenie jarząb, tak, że z jednego konara, niby para małżeńska, dwa różne wyrastają drzewa. Tam pod tym pniem miały przed wiekami odbywać się sądy sołtysie a sołtystwo było w rękach okolicznej drobnej szlachty. Kamienna płyta stołu sędziowskiego, który tu stał pod dębem, znajduje się dziś w kościele w Orawce. Znalazłem na niej wyrytą współcześnie datę: 1616. Potomkowie szlachty podszklańskiej, Bukowińscy i Radeccy, żyją tam do dziś dnia, utrzymując pamięć swego pochodzenia. Mają osobny cmentarz „szlachecki“, dziś już bardzo zaniedbany i krzewem zarosły.

Po zwiedzeniu cmentarza wybraliśmy się w odwiedziny do pustelnika, który zamieszkał w tutejszym borze. Pustelnia „Górka Marji“ kryje się przed okiem ludzkiem w gęstwie smreków, tak, że nie łatwo ją dostrzec. Odszukujemy ją jednak i przez furtę w parkanie, otaczającym całe to malutkie obejście, wchodzimy nieśmiało. Wita nas uprzejmie i rad zaprasza samotny mieszkaniec tego pustkowia, brat Benedykt Marja, typ eremity o ascetycznej bladej twarzy, odziany w spłowiały habit mniszy. Przed chatką, własnemi wzniesioną rękami, miły warzywny ogródek, z starannie utrzymanemi grządkami. Wchodzimy do wnętrza, schylając głowy w niskich wrotach miniaturowego domku, w którym prócz wązkiej sionki dwie tylko są malutkie izdebki i kapliczka. Z izb długich na trzy a szerokich na dwa kroki, jedna jest warsztatem, druga sypialnią. Panuje tu miły ład i czystość; na ścianach obrazki świętych, na półkach książki, pod ścianą w drugiej izbie krótka goła ława służy za łoże. Miniaturową jest także śliczna kapliczka z rzeźbionym w drzewie ołtarzykiem, roboty domorosłego snycerza. Ma ona osobne wejście od zewnątrz, ale w zimie, gdy śniegi zawalą pustelnię, można się do niej dostać tylko z sionki przez otwór przyziemny, oczywiście na czworakach. Brat Benedykt opowiada o swojem życiu na tem odludziu. Nazywa się Stępień, pochodzi z Mielca, żyje tu dopiero od lat kilku, utrzymując się z pracy rąk (oddaje się introligatorstwu) i z tego, czem go dobrzy ludzie wesprą. Na pożegnanie prosił o wpisanie się do księgi pamiątkowej i obdarzył

nas obrazkami z pieczątką „Pustelni Górki Marji“. W miłym nastroju wychodzimy na leśną polankę tuż obok pustelni, skąd roztacza się czarujący krajobraz całej u stóp wzgórza ścielącej się doliny orawskiej, aż hen, po dalekie na widnokręgu ciemne pasmo Tatr. Pojmuję teraz, że w każdym pustelniku tkwi coś z sybaryty i przypomina mi się przepiękna okolica eremu św. Benedykta w Nursji, ojca zakonników, w Subiaco pod Rzymem. Rozścielam na trawie mapę, nad którą pochylamy się, wyszukując poszczególne szczyty. Poję oczy cudnym widokiem, rozumiejąc teraz to dziwne uczucie niezaspokojonego pragnienia, jakie przynaglało mnie wczoraj do celu mojej wędrówki, który miał sowicie jej trud wynagrodzić. Przypominają się strofy sonetów tatrzańskich Nowickiego:

„Tatry!... czemuż, jak siedzib szukające ptaki,
Myśli moje ku waszej zamarłej pustyni
Lecą przez mgłę tęsknoty i przez marzeń szlaki?

O pustyni tatrzańska! bo na tym obszarze
Całej mojej ojczyzny — o skalna świątyni —
W tobie jednej są jeszcze ...swobody ołtarze!“

Tegoż jeszcze dnia popołudniu wyruszyłem z powrotem, odprowadzany przez znajomych z Podszkla. Obraliśmy drogę na Pająkowy Wierch, najwyższy szczyt w okolicy (934 m.). Z drogi do Podwilka weszliśmy na kamieniste zbocze, po którem w niespełna godzinę niezbyt męczącego wspinania, stanęliśmy na szczycie Pająka. Widok, jaki przedstawił się oczom naszym, przeszedł wszelkie oczekiwanie: o tak wspaniałej panoramie nie miałem wyobrażenia. Przed nami, jak wzburzone morze, nagle skamieniałe, leżały rozłogi orawskie, ujęte w kleszcze pasma babiogórskiego i łańcucha Tatr. Poprzez faliste, długie zwały Danielek, Zubrzycy i obu Lipnic, biegł wzrok po równinie orawskiej ku zachodowi aż po czarny stożek Wielkiego Chocza i lesiste garby śląskiego Beskidu. Od południa

„Jak potopu świata fale
Zamrożone w swoim biegu
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale.“ (*Pol*)

A od północy długi łańcuch wierchów beskidowych ze swą królową, Babią Górą i jej oblubieńcem, Pilskiem.

„Przy niej góry uklękły, a ona nad niemi
Wyniosła, jak bohater nad synami ziemi!“ (*Wasilewski*)

Niezwykłe to wrażenie potęgował ponury koloryt nieba. Oto po paru dniach skwarnych zbierało się na burzę. Cały widnokrąg przesłonięty był szarą przędzą mgły, z ponad Tatr zaś i z nad Babiej wysuwały się ku sobie dwie groźne, stalowej barwy chmury. W parnej atmosferze panowała złowroga cisza, przerywana chwilami głuchym pomrukiem odległych grzmotów. Stanęły w pamięci słowa wiersza Faleńskiego o Babiej Górze:

„Nim się w niej wichry zakrztuszą,
Uciekaj z duszą!
Bo ci w pierwszym piorunie
Z ramienia sfrunie!“

Mimo przykuwającego wzrok widoku należało się spieszyć, by przed burzą znaleźć bezpieczne schronienie. Zbiegliśmy ścieżyną ku Danielkom, tu na rozstaju pożegnałem towarzysza, poczem szybkim krokiem ruszyłem ku Orawce. Wśród szalejącego wichru, co targał drzew koronami i miotał świeżo skoszonym na polach zbóż kłosem, dopadłem plebanji w Orawce, gdy pierwszy grzmot pioruna wstrząsnął oniemiałym światem i rozesłał swe potrzaskane odgłosy na wsze strony, zbierając po górach coraz słabnące ich echa. Dwie czarne, ciężkie chmury zwarły się z sobą, jak dwa wojska wrogie i na ziemię wyschłą, spragnioną, polały się deszczu strugi ulewne. Pioruny biły raz w raz, coraz bliżej i bliżej, a ziemia drżała w posadach, tonąc w mroku, rozświetlanym tylko kiedyniekiedy oślepiającą błyskawicą. Żywioły niebieskie rozpętały się z niewidzianą grozą, a człek, któremu przed chwilą, na Pajęczym Wirchu, zdało się, że panem jest świata, poczuł się teraz, wobec majestatu burzy robaczkiem małym i słabym... I gdy troska ogarnęła o powrót do dalekiego jeszcze domu, gdy zdjęła obawa o los pożegnanego na Danielkach towarzysza, stanął w myśli szczęśliwy eremita z Górki Marji, który pewno ni lęku przed burzą, ni trosk żadnych tam w podszklańskim borze nie doznaje.

Na Zawracie.

Grają mi w duszy cudne, cudne pieśni,
Grają potężnie, rozgłośnie,
Z gór szczytów płyną chmurnych,
Precz gonią życia szare pleśni...
W świat lecę cudów promiennie, radośnie,
W świat upojenia i uniesień górnych.

Szeroko rozpostrzec ramiona tęskniące!
Hej! Biec przed siebie w bezpamiętnym wirze!
Z wichrem potężnym puścić się w zawody!
Mieć w piersiach serce rozdrgane, tętniące,
U ramion poczuć skrzydeł loty chyże
I rzucić w przestwór hymn beztroski, młody!

W Tatrach, 6 września 1923 r. *K. Z-cz.*

MARJAN GOTKIEWICZ.

Zaklęte skarby w Tatrach.

W dziele „Chronica Polonorum“ wzmiankuje Maciej Miechowita († 1523 r.), że król Aleksander, chcąc wzbogacić nadwerężony skarb królewski, wysłał w r. 1502 do Tatr górników, którzy rozpoczęli poszukiwania miedzi w Ornaku i srebra pod Klinem. Za Zygmunta Starego, poszukiwano również, z rozkazu króla, w rozmaitych miejscach Tatr Zachodnich, pokładów złota, srebra i miedzi jak na to wskazuje dokument z r. 1526, i do tych czasów odnosi się opowieść ludowa o ostatnim górniku króla Starego, przywiązana do krzyża W. Pola w dolinie Kościeliskiej [1]). Ów górnik, który miał zginąć z ręki zbójników opodal tego miejsca, gdzie dzisiaj stoi krzyż umocowany w kamieniu młyńskim, ostatnim śladzie istniejącej tu niegdyś płóczkarni złota — nie był jednak ostatnim górnikiem królewskim w Tatrach.

Wprawdzie późniejsi monarchowie zapomnieli o kopalniach tatrzańskich, atoli w r. 1765 rozkazał Stanisław August Poniatowski odnowić zarzucone kopanie kruszców. Wśród górników, którzy znowu podjęli prace, utarła się wtedy nazwa „Stara Robota“, którą to nazwą oznaczono wierch nad dzisiejszą doliną Starorobociańską w Tatrach Zachodnich, gdzie znaleziono ślady rozpoczętych jeszcze za Zygmunta Starego robót górniczych i częściowo zasypanych sztolni. Obiecywano wtedy królowi „złote góry“, które miały uzdrowić chory skarb Polski. Ostatecznie na obiecankach się skończyło, bo w ciągu trzech lat intenzywnej pracy, przekonano się, że nie opłaci się w Tatrach eksploatować miedzi ani złota, jak na to wskazują akta komisji skarbowej z lat 1765—1768, zebrane z rozkazu króla Stanisława Augusta w gruby fascykuł, zatytułowany: „Protokoły y dokumenta do Gór Mineralnych należące“. Górnicy porzucili góry, zostawili im jednak nazwy, które do dnia dzisiejszego wymawiamy, nie zdając sobie częstokroć sprawy, skąd ich pochodzenie. Należą do nich: Smytnia (szmitnia = kuźnia), Kuźnice, Huciska, Na Kunsztach, Stara Robota, Przydniówka, Miedziane, Miedziana Ławka i wiele innych.

Odeszli górnicy, lecz zostawili legendę o wielkich skarbach, zaklętych w naszej górskiej krainie. Pełno ich i w groźnych Tatrach i w uroczych Pieninach i w Babiej Górze i dlatego właśnie nie chcieli Czesi oddać Polsce Orawy ni Spisza...

Ale skarby te znaleźć niezmiernie trudno, bowiem różne duchy strzegą ich przed chciwością ludzką. Tylko ludzie uczciwi a przytem wtajemniczeni w zaklęcia mogę je posiąść przy pomocy modlitwy do św. Krzysztofora, stróża owych skarbów, przy pomocy rozmaitych cudownych środków, spisanych w „spis-

---

[1]) Czytaj o tem w pracy St. Eljasza Radzikowskiego „Zakopane przed stu laty“, zamieszczonej w Pam. Tow. Tatrz. z r. 1902.

kach“ t. j. rękopisach z pouczeniem, jak szukać je i znachodzić należy. O „spiskach“ tych wspominał Staszyc a jeden z nich z XVIII w. napisany przez niejakiego Michała Chrościńskiego przedrukowany został w Pam. Tow. Tatrz. z r. 1905. Jeszcze przed kilkunastu laty żyli na Podhalu „starowiercy“ t. j. gazdowie poszukujący w górach owych ukrytych skarbów. Do dnia dzisiejszego pokazują ludzie nawpół zasypane sztolnie w Hutach, dziwy prawią o kujących w głębi ziemi górnikach, o świecącym, niby gwiazda, w ciemne noce rubinie, który tam na szczycie Jastrzębiej Turni błyszczy nad spiską ziemicą.

Dzisiaj stanąwszy przy ujściu porzuconego lochu w Huciskach lub Bobrowcu, trudno oprzeć się wzruszeniu. Przed wiekami przywiązywano do tych miejsc nadzieje uzdrowienia polskiego skarbu, niecierpliwie wyczekiwano wieści z Tatr, ku nim leciały zapewne nieraz myśli królewskie. Przed wiekami pracowała już w tych górach, do których nam dzisiaj prawa zaprzeczają, myśl polska i dłoń polskiego górnika.

DR. WITOLD TASZYCKI.

Łużycka pieśń ludowa o Bolesławie Chrobrym.

Lat jeszcze tysiąc temu, znaczna część zachodniej granicy etnograficznego obszaru polskiego stykała się poprzez rzekę Gwizdę, Bobrę i Odrę z szczepami bardzo blisko z nami spokrewnionych Łużyczan i Milczan, należących do wielkiej rodziny Słowian połabskich, których siedziby po Łabę, a nawet za nią się rozpościerały. W kilkuwiekowej walce z nacierającymi Niemcami, zdążającymi za pośrednictwem ognia i miecza do wynarodowienia swoich sąsiadów, plemiona Połabian prawie doszczętnej uległy germanizacji. Cudem zaprawdę jakimś oparli się zniemczeniu tylko wspomniani już Łużyczanie i Milczanie, teraz Łużyczanami dolnymi i górnymi zwani. Terytorjum ich jednak oddawna znacznemu uległo skurczeniu, styczność ich z Polakami przerwały zastępy niemieckie, które zalały nasz Sląsk dolny i środkowy. Dziś tworzą oni wysepkę w podmywającem ustawicznie jej brzegi morzu niemieckiem; mieszkają zaś zwarcie w liczbie mniej więcej 150.000 ludzi we wschodniej Saksonji w okolicy miasta Budziszyna (po niem. Bautzen) i w Prusiech około miasta Chociebuża (Cottbus), utrzymując wiernie przodków swoich język i zwyczaje. Przez czas jakiś kraj ten znajdował się w granicach państwa polskiego, w zaciętych bowiem wojnach z władcą niemieckim Henrykiem II zyskał Bolesław Chrobry Łużyce i Milsko pokojem w r. 1018 w Budziszynie zawartym. Kroniki tym wypadkom współczesne przekazały nam wiadomość, że Łużyczanie czynnie pomagali królowi polskiemu w jego wal-

kach z germańskim najeźdzcą. Co więcej, pamięć o dzielnym i szczodrym wybawcy z wrogiego jarzma przechowała się także w pieśni dolnołużyckiej, zapisanej przez budziciela narodu łużyckiego i znakomitego etnografa Jana Ernesta Smolerja (1816—1884), a przełożonej na język polski przez doskonale naród i język łużycki znającego poetę polskiego Romana Zmorskiego (1824–1867):

1. Serby [1]) na Niemców w bój ciągnęli,
Choć po niemiecku nie umieli.

2. Koniki swoje posiodłali,
Ostrogi sobie przypinali.

3. Ostre swe miecze przywiesili,
W szerokie pole wyruszyli.

4. Pierwszy kroć z wrogiem bój stoczyli,
Wielkie korzyści zeń dobyli.

5. Gdy się król-książę o tem dowie,
Wszystkich walecznych przed się zowie.

6. Wszystkim darował nowe stroje,
Wszystkich policzył za swe woje.

7. Drugi kroć z wrogiem bój stoczyli,
Wielkie korzyści zeń dobyli.

8. Gdy się król-książę o tem dowie,
Wszystkich walecznych przed się zowie.

9. Każdemu nowa dana szata,
Z jasnego jako krew szkarłata.

10. Trzeci raz z wrogiem bój stoczyli,
Wielkie korzyści zeń dobyli.

11. Gdy się król-książę o tem dowie,
Wszystkich walecznych przed się zowie.

12. A kiedy wszyscy przybyli doń,
Bułany przypadł każdemu koń,

13. Bułany przypadł każdemu koń
I jeszcze jasna do boku broń.

Powiada historyk Łużyc, Polak Wilhelm Bogusławski w dziele swem „Rys dziejów serbo-łużyckich“ (Petersburg 1861, str. 90) w uwagach do tej pieśni się odnoszących, że jakkolwiek nie wymienia ona imienia Bolesława Chrobrego, to przecież tylko jego czyny opiewać może, bo „jakiż to król-książę trzy razy Serbów (Łużyczan) na Niemców prowadził i trzy razy zwyciężywszy, nagrodził walecznych wojowników bogatą zdobyczą? Tylko Bolesław Chrobry, nikt inny. Pieśń zupełnie się zgadza

[1]) Łużyczanie sami siebie nazywają Serbami łużyckimi, język swój językiem serbskim etc.

z dowodami dziejowemi. Trzy zwycięskie wyprawy Bolesława trzy razy powoływały Serbów do walczenia z Niemcami, trzy razy zapewniały im niezależność od tych Niemców, od których już wiele krzywd ponieśli. Po Chrobrym nie znajdujemy więcej takiego króla, coby tłumnie i zwycięsko mógł Serbów na Niemców prowadzić". Na prawdziwą starożytność pieśni wskazuje wymownie jej melodja, utrzymana w t. zw. tonacji doryckiej, używanej z szczególnem upodobaniem w wiekach średnich.

Nieszczęśliwy lud łużycki zachował pamięć o bohaterskim naszym królu aż po dzień dzisiejszy pomimo ogromu nieszczęść, jakie w ciągu wieków nań spadały. Piastował ją nawet w dobie największego upadku, kiedy zdawało się, że naród łużycki zniknie na zawsze z powierzchni ziemi. Było to z końcem w. XVIII. Życie narodowe łużyckie poczęło wówczas na pozór zamierać; zrozpaczeni patrjoci załamali ręce nad dolą swoich rodaków i starali się teraz o to, aby przynajmniej pamięć o ich narodzie nie zginęła. Tego rodzaju stan rzeczy trwał lat kilkadziesiąt. Aż nagle ożywiona działalność patrjotyczna Jana Ernesta Smolerja w pierwszej połowie wieku XIX wykrzesała tu iskry nowego życia, wytrąciła kraj cały z bezczynnego snu, wzmogła poczucie własnego ja, zachęciła do nowej walki, która trwa nieustannie, przynosząc stale pewne zdobycze. Mały, stupięćdziesięciotysięczny naród wojuje z podziwu godną wytrwałością o utrzymanie własnej narodowej odrębności, walczy z silną wiarą w przyszłość, która jemu także wyzwolenie przynieść musi.

ADAM CHĘTNIK.

O kurpsiu, co ksiot paprociu zgubziuł.

Buł sobzie kurpś Bartłoniej, chłop nie byle jeki: krzepki, śmagły i zdatny — do flinty i do fefki jekby ulany. A cy to w robocie jekiej, cy w chodzeniu do miasta, cy w tańcowaniu powolnioka — nikt z niem wytrzymać nie móg i w nicem mu nie poredziuł. Bo jek się uwzion na robotę, to mu wsytko latało w ręku jek w masinie. Kiedy obuł chodoki, spsion portki rzenieniokiem i niezły powerek wzion do ręki — to jekby ptok leśny frugoł po psiachu albo po kępach. A jek tańcował, to tak leciuchno, jek ten puch na zietrze, a równiuśko, ze śćklenicę z wodą na łbzie sobzie postaziuł i ani krzty nie uroniuł. Chwat buł z niego nie lada od maleńkości — jek poziedali sąsiady, scańścia tylo nijekiego nigdy nie zaznoł i samosyjcą zuł, choć łot dwadzieścio i psiańć z okładem na sobzie nosiuł. Z dziewcoków — choć te rade z za węgłów na niego zerkały — zadno mu w oko nie wleciało. Chałupę nioł w boru pod Kuziani, kowalską znoł prefesyją, a ze to buł sposobny machejnik, siła cudoków z zielaza robziuł: flintę narządzić, zamek cudocny wyśtu-

kować, krzyz i pasyje z ksiatani zielazneni wykuć — wsytko zmajstrował. Znoł tez swoją puscę Zieloną i bywał nieroz w okolicnych niastach: Kolnie, Nowogrodzie, Ostrołance i Mysiańcu i jesce dalej ze i spaniętać matyjaśnie. Ziedział tez, gdzie w boru zilki nocują, gdzie psiniądze złote się palą i gdzie kosy na śtorc obsadzone sa zakopane głęboko pod dębem. Ziedzioł też kiedy paproć kści się i straśnie chcioł taki ksiatusek paprociowy odnaleźć, ale coz z tego, kiedy choć sukoł go nieroz, choć nocowoł w boru — zawdy coś się przytrasiło na niescańście: albo zasnął snem twardem i porę kścenia przechrapoł, albo grzech go odstrasuł, przebrany za pocwarę, abo burza się zrywała straśliwa, ze błądziuł bez całą noc po kniejach i psiekiełkach, z zilkami się biorąc za orzedle. Roz mało nie skapsioł od zielkiego przestrachu.

Jednego razu, a było to w nocy na świańtego Jona, sed Bartłoniej do Mysiańca na pogrzeb bratanka. Sed, sed, noc go zasła carna, zbierał tez kopele i kroki zamasiste śtorcował. Juz parę mil used i bór zacynał się duzy i gaństy.

— Jesce ze trzy pacierze drogi i bańdę za borem, potem skrancę na łącki, a potem przez bziel i znowu borek — i juz bańdę za Mysiańcem — myśloł. Ale zdarzyło się cołkiem inacej, bo zabocuł Bartłoniej ze to była zilija akurat świańtego Jona i paproć miała się kiścić o dwunastej. Zaceny tez i strachy zlatywać się do boru i carownice, psiapory, wyły i tłukły się po gałęziach, ze tylo skowycało dokoluśka.

Bartek lecioł pręciuchno, drogę znoł psianknie i kociubą się popychoł dla tetkości. Ale juz — ze to było blizko północka — grzechy i inse złe duchy (w imię Ojca i Syna — niechoj przepadną na zieki zieków!) srodze mu wzieni dokucoć: siastały go ziatrem i descem po ślepiach, zwalały mu na drogę całe chojki, strasyły zilkami i zilkołakami i naostatku zrobziły to, ze zbłądziuł Kołowoł i penetrowoł Bartek po boru, zacepioł chodakani za za krze i karpy a łbem za gałęzie i nie ziedzioł jak redzić sobzie, co pocynać w bziedzie i takiem niescańściu. Prosiuł tez pana Boga o ratunek i pociesenie. A było to juz blisko dwunastej.

Wtem zajaśniało dokoła i zaiskrzyło się okrutnie po boru, a ziater ustoł, grzechy wyć przestali i zidno się zrobziło, jek w jasny dzień. Ale trwało to tylo oka mygnienie, bo wnet ciemność straśliwa nastąpsiła i cisa, jekby w trumnie. Bartek z przestrachu postąpsiuł wprzódy i niechcący zawadziuł kopelą po paproci, co rosło jej tu bez liku pod chojkani. I naraz zajaśniało mu w ocach i otworzyło się przed nim wsytko: i pozietrze, i zień śwańta i kory ciemne. Patrzy Bartek i zidzi dokoła, gdzie w cigandzi jest burśtyn w zielecnych kawałach, gdzie psieniądze zakopane, gdzie co zgubzione przez kogo albo ukradnięte; i zidział wsytkie bogastwa i skarby na dnie chrapów i wądołów zatopsione. Uradował się Bartek, bo zrozunioł, ze je tera zielgiem bogocem, ze juz nicyjej łaski potrzebować nie bańdzie i bziedy nie zazno. Chcioł tez zaro wyjąć z zieni z ksynę złota

do kiesiani, ale sie rozmyśluł i pedo: poco mom broć ksynkę, kiedy mogę wziąć całem wozem, pudę lepsiej do domu po rydel i konie.

I posed. A drogę terazidział dobrze i chałupa jekby przed brodą musię wydawała tak blisko. W domu usykowoł wóz i rydel, przerzuciuł bez kark torbę borsukową z chlebem i kapciuchem — i pojechoł, gdzie złoto ostaziuł. Kopoł bo i kopoł i nabrał na wóz ziele skarbu, ledzie koniska poredziły. W domu nasypał wsytko na zienię i myśli, co zrobzić z taką mamoną. A myślunek nioł dubeltowy: od anioła stróża swego i od grzecha przeklantego.

— Popraw sobzie gospodarkę, przytul do siebzie fameliją, obdziel bziedoków, a reśtę doj na sto msów za duse w cyścu i na kościół w Mysiańcu — redziuł mu anioł.

— Głupsiok bułby z ciebie — poziedo djabuł do drugiego ucha — kidnij robotę, ubierz sie psianknie, nie poziedoj nic nikomu, a psieniądze zakop do zieni — septoł mu dalej.

I Bartek niescansny posłuchoł przeklantego grzecha (w imię Ojca i Syna — niech przepadnie na zieki zieków!).

— Poco mom oddawać psieniądze — kiedy je som znalosem — poziedo, — na co mom pracowoć w kuźni, kieni mogę sobzie zyć po pańsku; poco mom chodzić w sukmanku i smacianych chodokach, kieni mogę się wystroić jej ślachcic.

Po takiem myślunku zakopoł złoto pod psiec, a potem odziązoł i rzuciuł chodoki, w których wędrowoł.

Aleć go Bóg skaroł za to chciwość i państwo, bo jek tylo zrzuciuł chodoki, pociemniało mu w ococh i wsytkie te bogastwa z przed niego mu przepadły. Bartek pod psiec — a i tam nic nima. Nie ziedział niescańsny, ze ksiot paprociowy siedzioł mu w chodokach, do chtórech mu wlecioł w tą noc świańtojańską.

I tak go Bóg pokaroł za pychę i niezasłużone ślachectwo.

Długie lata śkodowoł Bartek skarbów i nieraz jesce błądziuł po puscy, ale nigdy juz mu paproć w chodoki nie wlecioł.

* * *

Objaśnienie niektórych wyrazów miejscowych, zawartych w powyższem podaniu:

Krzepki — mocny; śmagły — zwinny; — zdatny — zdolny, zręczny; flinta — strzelba; powolniak — taniec kurpiowski; poredziuł — sprostał; powerek — kawałek kija; samosyjca — stary kawaler; machejnik — mechanik; matyjaśnie — dziwnie; kści się — kwitnie; grzech — djabeł, zły duch; piekiełka — łąki bagniste; za orzedle — za bary; skapsiał — umarł; kopele — nogi (w pieszem chodzeniu); kociuba — kij podróżny, zagięty u góry; chojki — sosny; cigiędź — cień w lesie; chrapy — bagna grzązkie; wądoły — małe jeziorka; kidnij — rzuć; śkodował — żałował.

* * *

Podanie „O Kurpsiu“ słyszałem w różnych miejscach z małemi zmianami. Przytoczone powyżej brzmienia zanotowałem przed 14 laty we wsi Dobrymlesie, pow. Kolneńskim.

Opis miast spiskich z przed 156 lat.

W „Geografii Krolestwa Polskiego y Wielkiego Xięstwa Litewskiego“ A. F. Büschinga, wydanej w Lipsku i Dreźnie w r. 1768 czytamy na str. 140 taki opis miast spiskich:

„1. Lubowna (Lubowla) zamek na górze nad Popradem y rezydencja starosty polskiego. 1553 pogorzał. Często był oblężony, osobliwie w woynie



PARUSETLETNI DĄB W PODSZKLU z wrośniętym w spróchniały pień jarząbkiem, dawne miejsce sądów sołtyckich.

hussytskiey. Niedaleko niego leży obszerne y ludne miasteczko tegoż imienia, ktore wsławione jest odpustami, targami y jarmarkami.

2. Poodolin (Podoliniec) miasteczko z zamkiem nad Popradem. które znaczny prowadzi, y gdzie XX. Pijarowie szkołę założyli. Grunta około leżące nie są urodzajne. Za miastem jest kaplica św. Anny na pagórku, wsławiona odpustami. Tutejsze zdrowe wody także są sławne.

3. Gniazdo (Gniazda), miasteczko nad Popradem. z gruntami dość urodzajnymi.

4. Ober-Rauschenbach (Drużbaki), miasteczko w którym jest żrzodło w kamień obracające.

5. Bela (Biała), miasteczko w miłej rowninie, niedaleko Popradu, które przez częste pożary zniszczało.

6. Lubica, miasto nad rzeczką tegoż imienia, ktore za dawnych czasow 4 razy było większe, jak teraz, kiedy tylko ma około 200 domow. Naybarziey przez ogień spustoszone było, ktory tu 1659, 1680 y 1708 grassował. Obywatele wyżywienie swoie maią częścią z handlu drzewem, częścią z rolnictwa.

7. Mateżowce (Matjaszowce), miasteczko nad Popradem, ktore 1718 całe prawie pogorzało

8. Welka (Wielka), miasteczko, ktore zniszczenia jest bliskiz, chociaż wielkie y urodzayne ma pola.

9. Spiska sobota, miasteczko w przyiemnym położeniu, ma choć niewielkie ale urodzayne pola. Często wprawdzie gorzało, ale znowu dobrze wybudowane było.

10. Poprad, miasteczko, ktorego położenie niewymownie jest miłe, ponieważ z iedney strony iest rzeka tegoż imienia, z drugiey zaś strony wielka rownina. Przed pożarem 1718 możnieysze było, iak teraz. Obywatele z rolnictwa się żywią.

11. Strasa (Straża), zruynowane miasteczko, które przedtym w dobrym było stanie.

12. Werbowo (Wierzbowo), źle zabudowano y nieludne miasteczko.

13. Twarożna, miasteczko, ktore obszerne ma pole y dobre ma lasy.

14. Ruskinowce, miasteczko w nieurodzaynym położeniu, ktorego obywatele naywięcej się żywią z handlu drzewem.

15. Nowa Wieś, między wszystkimi tymi miasteczkami naylepiey zabudowane y nayludnieysze, niegdyś murami było opasane. Leży nad rzeką Hernad a obywatele łożą się tak na rolnictwo iako też na kopanie w gorach, y w rzeczy samey w gorach blisko leżących kopią miedź i żelazo.

16. Podhrad (Podgrodzie), niezłe miasteczko, ktore leży pod Spiskim Zamkiem y w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego znaczny ma jarmark.

17. Wlaski, Olaszy (Włochy), miasteczko nad Hernadem, ktore niegdyś łacińską lub włoską było kolonią, iako imiona jey pokazuią, teraz zaś niemieckich tylko ma obywatelow. Około leżące pole iest urodzayne y miłe.

Te są naycelnieysze miasta do Polskiey należące. Pozostała część starostwa spiskiego, ponieważ do Węgier należy, więc tam innych miast szukać potrzeba

podał ***Wł. Semkowicz.***

Sprostowanie.

W nrze 2—3 „Orlego Lotu“ na str. 20, wiersz 1 od góry zamiast Teiszyre czytaj Teisseyre. Na str. 20 wiersz 12 z dołu zamiast namiestowski, czytaj namiestowskim. Na tejże stronie wiersz 9 z dołu zamiast Przygotowanie czytaj Przygotowania. Tamże w wierszu „W noce bezsenne“ w trzeciej strofie zamiast Cicha ukojna, ma być: Cicha ukojnia.

Cena jednego numeru 0·20 zł., z przesyłką pocztową 0·40 zł.
Przedpłata roczna 2·— złp.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy wysyłać pod adresem: **Księgarnia „Orbis“, Kraków—Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. Nr. 148.788. Na odpowiedź załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor: Prof. Dr. Tadeusz Kiełpiński, Kraków, Piotra Michałowskiego 3.
Administracja: Kraków—Dębniki, Księgarnia „Orbis“.

Nakładem „Orbis“ w Krakowie. Czcionkami Drukarni Ludowej.